

Wralo

„Sardzo lubię chodzić do teatru, ale z taką atmosferą na widowni nigdy się nie spotkałam... Sztuka była wspaniała!”

„Na Harendzie byłam wiele razy i będę tam powracać o ileż bo-
batsza po obejrzeniu spektaklu...
Myślę, że gdyby takich biografii —
teatralnych czy filmowych, było
więcej, to poznając naszych przod-
ków zmniejszylibyśmy groźbę po-
zostania „głupimi partolami”, wie-
rząc, że warto żyć i pracować...”

POCZTA codziennie przynosi takie listy. W Krakowie burza. Teatr Ludowy rozpoczął rok swojego 30-lecia przedstawieniem, które poruszyło uśpione emocje, prapremierą sztuki „Czas nasturcji” Barbary Wachowicz, z podtytułem, który wyjaśnia wszystko: „Sceny z życia Jana Kaspro-
wicza”.

I jest Harenda, cudowny, księży-
cowy wieczór. „Siedzimy z Jankiem
na werandzie... Cicho zupełnie, tyl-
ko nieustanny szum potoku...”

I jest tak, jak pisała Marusia Kas-
prowiczowa: w tle nagie turnie (me-
taforyczna scenografia Józefa Na-
piórkowskiego i Ryszarda Stopni-
ckiego) i „Janek mówi: ach jak tu
dobrze, chwilami boję się swego



Fot. Zbigniew Lagocki

Polski dom Barbary Wachowicz

Teatr w poszukiwaniu sedna

szczęścia”. Poeta Jan, u kresu swich dni, w upalny wieczór 1926 roku, kiedy kwitną ukochane nasturcje, przywołuje z pamięci swoje młode lata, nie sielskie, naznaczone pruskim drylem i patriotycznym protestem, wspomina umiłowaną Matkę — chłopkę z Kujaw, Lwów i dziennikarkę, Kraków i boheme, zdarzenia i przyjaciół, czas i sprawy — miłość wszechmocną do tej ziemi, tych ludzi: „Rozmówiała się ma dusza...”

BARBARA Wachowicz, nie od dziś przecież znana ze swych pasji pisarskich, wiodących tropami tego, co arcykrajkie, napisała obrazy dla sceny, złożone z życio-
rysu Jana Kaspro-
wicz, niszane ze słów, wydobytch z korespondencji, wierszy, tomów wspomnień, literatury epoki. Teatr ten walor autentyzmu podkreślił jeszcze, obsadzając aktorów tak, by z twarzy i postaci

nawet byli rozpoznawalni na pierwszy rzut oka.

Boy, Wyspiański, Rydel, Sierosławski, Dagny Przybyszewska, Korab-Brzozowski — i nade wszystko Stanisław Przybyszewski w brawurowym rysunku Henryka Giżyckiego. Potem jeszcze Makuszyński, Staff, Szymanowski, śliczna jak z portretu Witkacego Marusia w delikatnej kresce Zdzisławy Wilków-
ny.

Sam Kaspro-
wicz. Osaczony choro-
bą, wsluchany w echo życia, stłumiony, ale ciągle jeszcze żarliwy, gdy mowa o rzeczach wielkich —
gdy rodzi się „Hymn”. Ta kulminacja i części nowohuckiego przedstawienia zapada na długo w pamięć. Wacław Ulewicz w roli poety Jana zdany na szlachetny umiar, recytujący strofy „Hymnu”, stwarza prawdziwą kreację.

Tym większa satysfakcja, że Bogdan Głuszcak, obok Ulewicza współautor spektaklu, robi wszystko, aby tę szlachetną prostotę zmaczać nieokielznanymi pomysłami inscenizacyjnymi rodem z jego olsztyńskiej Pantomimy. Szczęściem trwa to niedługo. Zaś słowo pozostaje siłą tego przedstawienia. Aktorzy potrafią mówić wiersz jasno i klarownie. Wiele strof zgrabnie rozpisano na głosy, co jest udanym pomysłem. Można tego wieczoru nasłuchać się polszczyzny.

DRUGA część innemu podlega rytmowi, to już nie retrospekcja, to dzień ostatni, ostatni goście, ostatnie chwile na Harendzie. Dobry duch Maruszki i góralska kapela. Serdeczność bliskich i przyjaciół, rozmowy o życiu, o sztuce. Wiele głębokich refleksji, choćby to słynne credo Szymanowskiego: „Každy artysta... jeśli wyprze się przodków lub ich nie zna, to pomimo największego nawet talentu

będzie w najlepszym razie głupim partolą...”

Naszych przodków, wielkich przodków przypomina nam tego wieczoru teatr. Przypomina nasz dom, polski dom serdeczny, którego nigdy w teatrze dość, bo jest sednem. Pokazać go bez wielkich słów, za to z wielkim uczuciem — to obowiązek sztuki. Teatr Ludowy osiągnął ten cel.

I w Teatrze Ludowym mówi się o tym wieczorami. Dyskusja prawie dwugodzinna (!), po owacji na stojąco:

...To nie tylko młodzież powinna oglądać, przede wszystkim nauczyciele... Słuchajcie głosu widza, jestem z rynku krakowskiego, a tu przyjeżdżam, bo my widzowie potrzebujemy, aby ze sceny mówiono o ojczyźnie, skromnie i pokrzepiająco... Dużo ludzi bywa w tym teatrze, nie ma pustych krzeseł, tu nas nie karmią smutkiem i beznadziejnością... Dziś spotkało nas to, co narodowe najgłębiej... Bo jest tak, jak pisał Kaspro-
wicz „Bo dziś ludziom więcej serca trzeba niż białego chle-
ba”...

Słucham tej dyskusji obok jednej z cichych bohaterek „Czasu nasturcji” i tamtego czasu. Pani Antonina Kuźma, ostatnia gosposia na Harendzie, także została przez Barbarę Wachowicz uczyniona osobą dramatu. Przynosi pek nasturcji, jak to było w życiu. A teraz już na rencie, żyje zwyczajnie, bez Harendy, w bloku.

— Tak było — powiada — zupełnie tak, jak to pani Wachowicz napisała. Ona zna Harendę, bywała u nas. Wszystko było tak właśnie, serdecznie i po polsku. Pocho-
dze tam sobie czasem, wieczorem, jak jest cicho, zaglądam w okna...

Dobrze, że teatr też tam zagląda.